№ 41.

Warszawa dnia $\frac{1}{13}$ Października R. 1866.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, **na prowincji i w Cesarstwie** *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1.
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Uroczystość w Amiens.

Dnia 26 Sierpnia r. b. odbyła się w Amiens, stolicy departamentu de la Somme, rzadka w swoim rodzaju uroczystość. Wiadomo jak długo w roku bieżącym, straszna cholera szerzyła w tem mieście paniczny przestrach i rozpacz, ciężką żałobą okrywając rodziny. Lecz obok téj okropnéj klęski, któréj spustoszenia bolesnem w sercu całéj Francji odbiły się echem, Bóg nie pozbawił mieszkańców słodkiéj pociechy i opieki, budząc w pośród nich prawdziwie bohaterskie uczucia odwagi, poświęcenia i téj miłości chrześcjańskiéj, zdolnéj koić najsroższe cierpienia, zabliźniać najgłębsze rany.

Uosobionym ideałem tych wielkich cnót, stała się dla miasta Amiens pani Cornuau, żona prefekta departamentu, córka p. Vinchon, znanego malarza historycznego.

Piękna i szlachetna cesarzowa Francji, która od chwili wstąpienia na tron stała się prawdziwą uwidomioną Opatrznością cierpiących i potrzebujących opieki, a za najdrogocenniejszy brylant swéj cesarskiéj korony uważa nadaną jéj przez cesarza godność *Prezydującéj* we wszystkich dobroczynnych zakładach i miłosiernych stowarzyszeniach Francji, nie pozostała głuchą na głos rozpaczy i niewypowiedzianéj trwogi, dochodzący do niéj z nieszczęśliwego miasta i niepomna na niebezpieczeństwo, niezwłocznie udała się do Amiens, gdzie kilkakrotnie zwiedzała szpitale cholerycznych. Sam widok dobréj, ukochanéj monarchini, z takiem zaparciem siebie spełniającéj uczynki miłosierne, krzepił nadzieją chorych, wlewał pociechę w dusze srodze dotkniętych rodzin, wymownie uczył wszystkich, że strach i obawa powinny umilknąć przed poczuciem obowiązku doglądania i ratowania chorych.

Bytność ta cesarzowéj Eugenji w Amiens, dorzuciła jedno jeszcze ogniwo do nierozerwalnego łańcucha czci i miłości, jaką naród francuzki otoczył piękną swoją monarchinię.

Przybywszy do Amiens, cesarzowa Eugenja zapragnęła poznać bliżéj panią Cornuau, z któréj nazwiskiem u każdego niemal spotykała się łoża, gdyż od pierwszéj chwili wybuchu strasznéj epidemji, odznaczała się nadzwyczajną odwagą i prawdziwie ewangelicznem poświęceniem.

Wiadomo że ogarnięci niewypowiedzianym szałem trwogi i przerażenia, tak zamożniejsi mieszkańcy jako też wielu urzędników a nawet i doktorów, porzucało swe obowiązki uciekając z miasta tak straszną dotkniętego plagą.

Wśród ogólnego tego popłochu i bezładu, młoda i ładna p. Cornuau stała się prawdziwym aniołem pocieszycielem opustoszałego miasta. Nie było łoża boleści, nie było poddaszu, gdzieby nie biegła z pomocą i pociechą, ratując chorych, budząc odwagę w przestraszonych, otaczając swą opieką nieszczęśliwe wdowy i sieroty. Ileż to ofiar stojących już nad grobem przywołała do życia jéj niezmordowana troskliwość i nieograniczone poświęcenie! ile rodzin uratowała od nędzy i upadku ocalając ojca lub matkę których praca jedyną ich była podporą! Przez cały czas trwania cholery, pani Cornuau nie miała chwili wytchnienia, jak anioł miłosierdzia dnie i noce spędzała na usługach dla bliźnich.

Marja-Eugenja z żywem zajęciem i uwielbieniem słuchała szczegółowych opisów prawdziwych cudów poświęcenia, zaparcia siebie i odwagi, zapełniających od dwóch miesięcy, wszystkie niemal godziny życia pani Cornuau, i obok słów serdecznego uznania i podzięki od siebie i cesarza, wręczyła jéj piękny medal złoty, zrobiony na uczczenie jéj wielkich zasług, jakie podczas téj strasznéj zarazy dotykającéj Amiens i liczne okolice Francji, szlachetna ta niewiasta umiała zjednać sobie przed Bogiem i przed ludźmi.

Niezadługo potem Napoleon III ozdobił męża pani Cornuau wielką wstęgą Legji Honorowéj.

Nie poprzestając na tych monarszych nagrodach, miasto Amiens zapragnęło także uczcić z swéj strony wielkie chrześciańskie cnoty swego *Anioła opiekuń-*

czego (jak powszechnie po dziś dzień nazywają tam p. Cornuau), i w tym celu postanowiło wybić medal z jéj popiersiem. Cały departament de la Somme zapragnął wziąść udział w tym objawie uwielbienia i wdzięczności, i wkrótce lista obejmowała czterdzieści dwa tysiące podpisów.

Jak powiedzieliśmy wyżéj wręczenie medalu odbyło się dnia 26 Sierpnia r. b. Jakże to piękna i wzniosła była uroczystość! Przeszło 50,000 osób defilowało przed ładną estradą wzniesioną naprzeciw pałacu Prefektury, medal zaś wręczała młoda, w bieli ubrana dziewica, która opuszczona od wszystkich, jedynie tylko niezmordowanym usiłowaniom pani Cornuau, zawdzięcza swe ocalenie. Jeden z obywateli, w krótkiéj, wzruszonym głosem wypowiedzianéj mowie, przypomniał nieograniczone poświęcenie i nadludzką niemal wytrwałość i odwagę, które zapewniły pani Cornuau wieczną cześć i wdzięczność miasta i współziomków. Do łez wzruszona, pani de Cornuau wyrzekła z prostotą: „Spełniłam tylko moją powinność.“

Cześć czcigodnéj niewiaście, która w pośród tak rozpowszechnionego dziś indyferentyzmu i nikczemnego egoizmu, umiała pojąć i spełnić wzniosłe posłannictwo kobiety — chrześcianki!

PRZEKŁADY
z Alfreda de Musset.
Jana Prusinowskiego.

(Dokończenie).

III.

Do Panny.

Tak kobiety — wasza władza,
Działa na nas nieskończenie —
I wasz uśmiech nas wprowadza,
W rozpacz, albo upojenie.

Tak — dwa słówka — lub milczące
Mgnienie oka, pół — szydercze —
Może w serce bolejące,
Utkwić ciosy tak mordercze!

Pycha — broń to wasza główna, —
Dzięki naszéj lękliwości,
Mocy waszéj nic niezrówna,
Prócz wrodzonéj wam lekkości!

Lecz moc wszelka na tym świecie,
Nadużyciem sobie szkodzi —
I kto umie milczeć przecie,
Od was tuląc płacz odchodzi...

V.

Rondo do Pani....

Za lat dziesiątek — niedłużéj,
Niebędziesz okrótną tyle!
A miłość — wierz mi — usłuży —
Koło zegaru powróży,
Skrzydełkiem podpędzi chwile.

Wdzięk twój, czaruje nas mile,
Lecz strzeż się — życie to nuży—
A przez lat dziesięć — ach tyle!
Świat nam nowinek powtórzy.....

Lecz wtenczas to, w całéj sile,
Wzór mój kochankom posłuży —
Za głupi — by szaleć dłużéj,
Za brzydki — na sny motyle....
Lecz będziesz — ach! piękną tyle!
Za lat dziesiątek — i dłużéj...

VI.

ŁUCJA. (Elegja).

O przyjaciele! wspomnijcie sobie,
Posadzić wierzbę na moim grobie.
Lubię jéj liści sploty płaczące,
Blada ich barwa nęci mnie mile —
I niezaciężą cienie jéj drżące,
Ziemi — wzniesionéj na méj mogile...

Był wieczór — myśmy sami siedzieli we dwoje —
Ona z główką schyloną, po rzędach klawiszy,
Prowadziła marząca, białe rączki swoje,
Budząc lekki szmer tylko — rzekłbyś, że wśród ciszy,
Wietrzyk zdala, na różach cichą piosnkę stroi,
I w przelocie, ptaszęta przebudzić się boi.
Z kielichów kwiatów błyszczących tak świetnie,
Tryskała rozkosz nocy, jak z zaklętéj czary —
Stare kasztany parku i dęby stuletnie,
Kołysały się, łzawe wzruszając konary.
Myśmy słuchali Nocy — Wiosna na nas wiała
Przez okna pół-otwarte, cudne wonie swoje —
Milczały wiatry, łąka samotna milczała,
My mając lat piętnaście, byliśmy we dwoje!
Patrzałem na jéj lica na splot jasnych włosów,
Nigdy ócz dwoje, tyle niemieściły w sobie
Lazurne przejrzystości i głębi niebiosów!
Była piękną — ją tylko kochałem w téj dobie!
Lecz kochałem ją czystą, braterską miłością,
Bo jéj urok, wiał taką anielską czystością!

I milczeliśmy długo — cisnąc dłoń jéj w dłoni,
Zgadywałem jéj myśli z zadumanéj skroni,
I czułem w duszy mojéj, wśród uczuć rozstroju,
Że to brzemię trosk naszych — jedynie przeważy,
Moc, tych dwóch bliźnich znaków, szczęścia i pokoju,
Młodość serc naszych — i ach! młodość twarzy!
A księżyc, przez bezchmurne szybował błękity,
Srebrzysta jego światłość, strumieniem się lała,
Ona, z ócz mych, swój obraz ujrzała odbity,
Uśmiech jéj był anielski — i pieśń jéj zabrzmiała!

. . . .

O harmonjo, harmonjo! tyś boleści dziecię!
Geniusze cię na język miłości stworzyły —
Tyś z Italji, po całym rozbiegła się świecie,
A Bóg cię dał Italji!... Dźwięk twój sercu miły,
Zbratana z nim, myśl nasza, ta trwożna dziewica,
Nie boi się ócz obcych i odsłania lica!
Któż zgadnie, co zrozumie i wypowie dziecię,
W twoich boskich westchnieniach, w powietrzu poczę-
[tych?
Smutnych, jak jego serce — a tak słodkich przecie!
Choć pochwycą spojrzenia, łzę co oko pali,
Tłum się pośród tajemnic zgubi niepojętych,
Jak pośród szmeru nocy, lasów — albo fali!
Byliśmy sami tylko, dumając w milczeniu —
Zdały się w piersiach naszych, brzmieć pieśni jéj tony,
Ona główkę swą wsparła na mojem ramieniu —
Czyżeś uczuła w sercu swem jęk Desdemony?
Biedne dziecię! ty płaczesz? i do ust swych drżąca,
Przycisnąć usta moje pozwoliła smutnie —
Lecz uścisk ten przyjęła boleść jéj milcząca!
Taką byłaś strapioną i zimną okrutnie...
Taką cię, w kilka niedziel złożono w mogile,
Taką byłaś konając, mój przeczysty kwiecie!
A zgon twój był uśmiechem, tak jak życia chwile,
I wzniesionaś do niebios — jak w kolebce dziecię!...

O przyjaciele! wspomnijcie sobie,
Posadzić wierzbę na moim grobie —
Lubię jéj liści sploty płaczące,
Blada ich barwa, nęci mnie mile,
I niezacięźą cienie jéj drżące,
Ziemi — wzniesionéj na méj mogile!

VII.

ROLLA (wyjątki).

1.

Czy żal wam czasów, gdy niebo na ziemię,
Tchnęło—wcielone, w całe Bogów plemię?...
Gdy Wenus, córa morskich wód przezroczy,
Świat użyźniała splotem swych warkoczy,
Tuląc łzy matki swéj w dłonie dziewicze?
Czy żal wam czasów, gdy nimfy zwodnicze,
Pluszcząc wśród kwiatów, przy słońca połyskach,
Nęciły śmiechem, po wód brzegowiskach,
Między sitowiem śniących Faunów roje?
Gdy ustami Narcyza całowane zdroje,
Drżały miłośnie?... gdy z mocy swéj znany,
Herkules, w krwawą lwią skórę odziany,
Wiódł sprawiedliwość, po świata obszarach?
Gdy drwiące Sylfy, na dębów konarach,
Wpół kołysane od wiatru powiewów,
Świstały w echu dźwiękiem swoich śpiewów?
Gdy wszystko nawet ludzkie bóle, troski,
Miały na ziemi, jakiś odblask boski?
Gdy świat, czcił wszystko co dziś męczy srogi!
Kiedy liczono na tysiące bogi,
Ale z nich żaden niemiał ateusza?
I wszystko tchnęło szczęściem—prócz Prometeusza,
Co był szatana bratem pierworodnym,
I oba padli w polocie zawodnym!
I gdy się zmienił człowiek, niebo, ziemia cała,
Gdy się kolebka świata, jego trumną stała,
Gdy huragan północy, przy gromu połyskach,
Czarny całun zarzucił na Romy zwaliskach....

2.

Czy żal wam czasów, gdy z wieków ciemnoty,
Wykwitł piękniejszy, niż przedtem, wiek złoty?
Gdy odmłodzony stary świat na nowo,
Jak Łazarz deskę odwalił grobową?
Gdy starych pieśni naszych dźwięczne tony,
Złotemi wiały skrzydły na świat zachwycony?
Gdy naszych wierzeń i sztuki postacie,
W białéj dziwactwa promieniły szacie?
Gdy pod ręką Chrystusa wszystko odmłodniało?
Gdy jedno znamię krzyża zarówno jaśniało,
Zamkom książęcym i chatce kapłana?
A oczy w Niebo biegły, ufne w łaskę Pana?
Gdy Bazylika Piotra, Strasburg i Kolonna,
Przyklękły skute kamiennym pancerzem?
I gdy z nich brzmiała pieśń miliono-tonna,
Co była ludów powszechnym pacierzem?
Gdy tkanka dziejów tworzyła się skrycie?
Kiedy krucyfiks na ołtarzy szczycie,
Mleczne ramiona na świat rozpościerał?
I człek żył młodo — z nadzieją umierał?

3.

O Chrystusie! do progów świątyń Twych milczących
Nie niosę modłów na kolanach drżących —
I nie całuję krwawe nogi Twoje,
Bijąc się w piersi — i spokojny stoję,

W Twoich kościołach — gdy lud zamodlony.
Spiewa Ci hymny, kornie pochylony!
I słów Twych słucham z uczuciem niewiary —
Za późnom przyszedł znać na ten świat stary!
Kiedy po wieku chłodnym, bez nadziei,
Wiek bez bojaźni, przyszedł dziś z kolei,
Naszego czasu świecące komety,
Już wyludniły niebiosa niestety!
Chwała Twa zmarła! i pośród zniszczenia,
Trup Twój cielesny, w prochy się zamienia!

Wieku bez wiary, mniéj wierzące dziecię,
Niechaj te prochy ucałuję przecie
I niech zapłaczę wśród téj ziemi łona,
Co żyła Twoją śmiercią i bez Ciebie kona!
Któż w nią tchnie życie, gdy w niéj sił niestanie?
Tyś krwią przeczystą odrodził ją Panie!
Kto już ją zbawi? kto w duszy odmłodzi,
Nas starców—których dzień wczorajszy rodzi?....

4.

Wolterze! Czy mogilny sen Cię uszczęśliwia?
Czy uśmiech Twój obrzydły czaszkę Twą wykrzywia?
Wiek twój, mówią, za młody był by pojąć ciebie—
Ciesz się—bo twoich ludzi wiek nasz wydał z siebie.
Gmachy, coś dniem i nocą wznosił z wysileniem
Dziś zaś przygniotły olbrzymiem ramieniem.
Śmierć, czekała cię pewno z tęsknotą kochanek,
Przez lat sto niemal, twoich do niéj zalecanek....
O! musicie się kochać w miłości piekielnéj!
I nierzucasz zapewne swéj szaty weselnéj,
Gdzie wśród robactwa ściskacie się społem—
Jak chyba, by samotnie, z chmurnem zwiedzać czołem
Puste klasztory i stare zamczyska....
Co ci tam prawią owych widm zjawiska?
I bez ołtarzy milczące świątynie,
Któreś tchem swoim zakopał w ruinie?
Co ci krzyż mówi? i ukrzyżowany,
Zbawiciel świata? i czy Jego rany
Znów się krwią broczą, jak od gwoździ krzyża,
Gdy się do Niego widmo twoje zbliża?
Czyś godnie spełnił posłannictwo swoje?
Czy jak *Przedwieczny*, na widok stworzenia,
Za dobre uznasz własne sprawy twoje?
Jeśli tak—powstań—i przyjm zaproszenia...
Ktoś tu ucztować ma tego wieczora—
Uczta ta—zdolna zwabić *Komandora!*

POGADANKA TYGODNIOWA.

Z licznych sztuk przez kuglarzy pokazywanych, przezywających się szumnie profesorami czarodziejskiéj magji, jest jedna wiele mająca podobieństwa do pogadanek tygodniowych. Służy do niéj pierwszy lepszy kapelusz męzki, z którego ręka magika wydobywa setki rozmaitych przedmiotów, kwiaty, karty, cacka, wstążki, gołębie, palące się latarnie, karmelki i inne podobne drobiazgi, jakiemi ciekawych widzów zasypuje na ogólne wszystkich zdziwienie.

Tym magikiem pragnę dziś zostać wyrzucając przed Wami wiązkę przeróżnych wiadomostek, zebranych bez składu i ładu, w cudownym kapeluszu, nazywającym się światem ze wszystkiemi objawami niespokojnéj myśli ludzkiego ducha.

A najprzód, nad kochanem naszem miastem, przeleciały gąski dzikie, z gęgem, z szumem, szybując swobodnie na wód obszary. Są to zwykli nasi goście jesienni, witamy je z radością bo przy jednostajnym gwarze i trajkocie miejskim, mimowoli odtwarzają w myśli sielskie obrazy, owe moczary zarośnięte trzciną, łąki nadrzeczne i pola zieleniejące świeżo wschodzącą oziminą. Wprawdzie czasami czycha na ich przeloty, ukryta broń zdradziecka, ale przyzwyczajone do napaści, o czujności nie zapominają nigdy, i kilku uderzeniami skrzydeł popłynąwszy w górę coraz wyżéj i wyżéj, gwarzą potem radośnie, szydząc z potęgi człowieka. Ale i między nami nie lepiéj się dzieje.

W rzeczach jednak smaku dotyczących, postęp widoczny. Zamorskie delikatesy z coraz większym ferworem zjadają smakosze Warszawscy, a za modniarkami i fotografistami szukającemi wzorów i ulepszeń za granicą, obecnie wyruszają już i cukiernicy do Paryża i Londynu. Cóż to za powódź słodyczy spadnie na Warszawę.

Z rozwoju cukierniczego pojmując wszystkie dla kraju korzyści, zwracam jeszcze baczność na niedźwiedzie mięso, obecnie w Paryżu dosyć się upowszechniające. Jest to przysmak któregośmy jeszcze nie kosztowali, koniecznie więc należy pomyśleć o jego sprowadzeniu.

Ale mam jeszcze dwie nowinki, na których urzeczywistnienie, czekam z gorączkową niecierpliwością. Jakiś zacny przedsiebierca powziął myśl gotowania rosołu na wielką skalę, do czego uzyskawszy już od Władzy stosowne upoważnienie, ma wkrótce stosowny zakład urządzić. Dla klassy biedniejszéj będzie to prawdziwe dobrodziejstwo, szczególniéj też na zimową porę, zmuszającą wielu wyrobników do obchodzenia się przez dzień cały, suchem i zimnem jedzeniem.

Drugą jest zamiar założenia przez p. p. Lilpopa i Raua nowéj fabryki w ulicy Jerozolimskiéj w któréj obok innych przedmiotów wyrabiane będą wagony i lokomotywy. Dotąd sprowadzane z Berlina wyciągały niemało grosza z wielką szkodą krajowego przemysłu. Jeżeli się zamiar powiedzie, otworzy się nowy warsztat pracy, z któréj młodzież nasza powinna korzystać. W Ameryce po ukończeniu szkół gminnych, każdy chwyta się jakiego rękodzielnictwa lub przemysłu i wtenczas dopiero pojmując cel pracy kształci się daléj w obranym kierunku. Jeżeli wybór nieodpowiada usposobieniu, przechodzi do innego zatrudnienia i ciągle pracując umysłowo, zmienia go dopóty, dopóki nie natrafi na to, co rzeczywiście zgodne jest z wrodzonem jego powołaniem. Ztąd to widziemy najsławniejszych tam ludzi, w młodych latach będących, drwalami, szyprami, przewoźnikami, cieślami, krawcami, późniéj adwokatami, mówcami, dyplomatami. Szkoły są dobre, ale warunkowo, jeżeli uczeń rzeczywistą odnosi korzyść, jeżeli zdobyte zasoby umysłowe odpowiadają strawionemu w nich czasowi. W przeciwnym razie, dla młodego człowieka niepowetowaną przynoszą szkodę, bo go przyzwyczajając do próżniactwa, każdą późniéj pracę robią przykrą i nieznośną. Jeżeli więc korzysta, niech że się kształci daléj ile sił i sposobności starczy, jeżeli jest inaczéj niech się chwyta rzemiosła.

Wdrażając się do niego od młodu, wcześnie nauczy się zastanawiać nad środkami jakie mu zdobyć należy, aby został dobrym rzemieślnikiem. To popchnie go do książki do czytania i wyprowadzi na zdolnego pracownika i przyjemnego w towarzystwie człowieka. Znam takich dosyć, a pragnąłbym aby podobnych było jak najwięcéj.

O UBIORACH

KORESPONDENCJA Z PARYŻA.

Zdarzyło mi się widzieć w tych dniach, w jednym z magazynów paryzkich, wyprawę przygotowaną dla młodéj osoby. Byłam właśnie obecną przy tem, jak tę wyprawę wysyłano o kilkadziesiąt mil od Paryża. Wszystkie suknie w liczbie dziesięciu właściwe były na jesienną i zimową porę, opiszę je zatem po kolei.

Suknia przeznaczona do ślubu, morowa biała w kliny, z dwoma tylko fałdami w tyle, z długim powłóczystym ogonem, nie miała żadnego garnirunku. Całą ozdobę stanowił gruby na palec sznur jedwabny, naszyty u dołu, Stanik gładki spinał się na guziki szmuklerskie, ruszka illuzjowa zakończała go u szyi. Takaż ruszka zdobiła brzeg obcisłych rękawów. Szarfa atłasowa spięta z boku na rozetę, dopełniała pięknego ubrania. Na głowę przygotowany był welon okrągły illuzjowy, przybrany delikatnym wieńcem z mirtu, który w dwóch festonach spadał na warkocz.

Druga suknia czarna z ciężkiéj gładkiéj materji *gros grains* miała u dołu wycięte zęby nie zbyt głębokie, objęte na cal pliską z materji koloru złotego. Spódnica mocno była z tyłu przedlużona. Stanik spinał się na czarne szmuklerskie guziki z obwódką złotą. Na epoletach i mankietach były zęby objęte złoto żółtą materją stosownie do spódnicy.

Trzecia suknia przeznaczona, na mały wieczorek biała muślinowa, miała podwójną spódnicę. Pierwsza zakończona była u dołu wolantem szerokim przeszło na pół łokcia. Brzeg wolantu wycięty w zęby, haftowany był włóczką pąsową i czarną. Zwierzchnia spódniczka krótsza sięgała tylko do wolantu, zakończał ją haft odpowiedni. Na każdym brycie, szedł w górę podobny haft sięgający do pasa i znacznie zwężony w górze. Staniczek *à la vierge*, wykrojony był czworograniasto, i przymarszczony do haftowanych pasków. Krótkie rękawki składały się z bufki i falbanki stosownie haftowanéj. Pod stanik dana była modestka z wykrojem czworograniastym, tiulowa, ze wstawką z walansienki. Szarfa pąsowa z czarnym brzegiem przewiązana z boku dopełniała ubrania.

Czwarta suknia jasno popielata, barwy srebrnéj, *poult de soie*, krajana w kliny, miała wszystkie bryty przedzielone rulonem z materji niebieskiéj, *bleu mexique*. U dołu stanowiła garnirunek plisa popielata szeroka na ćwierć łokcia, objęta z obu stron niebieskim rulonikiem. Z pod rulonika u dołu spódnicy, wychodziła gipiura czarna szeroka na dwa palce. Stanik gładki spięty na guziki, przepasany był szarfą niebieską, z brzegiem czarnym gipiurowym. Z boku szarfy szła rozeta, ułożona z materji i gipiury.

Piąte ubranie składało się z długiéj spódniczki w kliny z pluszu fijołkowego w prześlicznym kolorze i z takiegoż samego paletocika dętego, podbitego białą materją. Przód paletota spinał się na guziki rzeźbione z konchy perłowéj białéj. Rękawy średniéj szerokości, podbite były biało i wygarnirowane z pod spodu białą wstążką.

Szóste ubranie z popeliny Irlandzkiéj *marron*, składało się z kolistéj spódnicy długiéj zakończonéj u dołu sznurem, i z paletocika do stanu w formie *peplum* z długiemi po bokach zębami. Paletocik spinał się z przodu na guziki szmuklerskie. W rogach szły kwasty tegoż koloru. Rękawy otwarte u ręki, tworzyły spadający ząb, zakończony również kwastem. W koło paletocika naszyty był sznur taki jak u dołu spódnicy.

Siódma suknia do ubrania na wieczór szamoa z muślinu jedwabnego, miała u dołu niezbyt szeroki wolant koronkowy, naszyty w festony; każdy feston podpięty był węzłem szmuklerskim z kwastami. Stanik wycięty, przybrany małą bertą czarną koronkową, i przepasany w pasie koronkową szarfą ze spadającemi z tyłu końcami, ślicznie odpowiadał całości. Na zarzucenie służyła rotonda czarna koronkowa.

Osma suknia do strojnego ubrania, atłasowa *pervenche*, różowawo lilla, w rzucik z popielatych kwadracików, zakończona była u dołu sznurem popielatym jedwabnym. Spódnica przedłużona, krajana w kliny, miała tylko dwa fałdy z tyłu. Stanik wycięty, krótki, ubrany koronką czarną, z krótkiemi rękawami w bufki, przepasany szarfą koronkową, służył wyłącznie na wieczór lub na objad proszony. Dodany był oprócz tego maleńki paletocik, obszyty wolantem koronkowym, właściwy na ubranie wizytowe.

Dziewiąta suknia do wyjścia na ulicę czarna mantynowa, krótka na ćwierć łokcia od ziemi, wycięta była w głębokie greckie zęby w odstępach, objęte aksamitką czarną. Pod te zęby podpinał się wolant jasno szafirowy jedwabny, sięgający ledwie do ziemi, miejsce stanika zastępowała koszulka jedwabna szafirowa. Paletocik kaszmirowy czarny, cały zahaftowany pacioreczkami, bez rękawów, dopełniał ubrania. Do téj sukni dodano jeszcze dwa inne wolanty, które można podpinać według woli, jeden czarny, drugi fijołkowy; wolanty te zastępowały miejsce spódniczki. Dodano także dwie koszulki stosowne do wolantów.

Dziesiąty szlafroczek ranny, niebieski kaszmirowy, krajany zupełnie kolisto bez fałdów, powłóczysty w tyle, obłożony był w koło plisą z pluszu białego w czarne centki nakształt gronostaju. Rękawy były spadające szerokie, pelerynka mała kwadratowa. Sznur gruby niebieski z kwastami służył do wiązania. Pod to szła spódniczka perkalowa z przodem w zakładki, przeszywanym w poprzecz wstawką *kluni*. Nad obrębem dana była takaż wstawka.

S. D.

W tych dniach oglądaliśmy piękny dobór strojów, zakupionych w Paryżu przez panią Kwiatkowską i z nich niektóre opiszemy.

Przywiezione paletociki w ogólności są krótkie, po największéj części wolno puszczone, niektóre wykrojone u dołu w zęby okrągłe albo greckie. Paletoty zwane *peplum* z zębami po bokach, rękawy mają szerokie śpiczaste zakończone kwastami, równie jak boki u paletota.

Wełniane przybrane są pliskami z materji *gros grains* z wypustką atłasową, aksamitem, frendzelką jedwabną z grelotkami, paciorkami z lawy albo też barankiem czarnym lub siwym.

Śliczne są takie paletociki czarne, granatowe lub skabiozowego koloru z *velours de laine*, objęte wązko czarnym barankiem, zwane: *Varsovienne*. Takiż sam rękawek bardzo mały obłożony również barankiem, dopełnia ubrania. Do najmodniejszych materjałów zjakich wyrabiane są powyższe paletoty należy; syberyna kędzierzawa, jakby w supełki ciemnéj barwy wyrób naśladujący baranki w kolorze popielatym, czarnym, *chinée* w dwóch odcieniach, baranim (mouton) jaki widziemy na owcach Hiszpańskich czystéj krwi; *velours de laine* w kolorze skabiozowym, tabaczkowym i granatowym, jak również aksamit czarny, z powodu dość znacznéj ceny nieprzystępny jednak dla wszystkich.

Do częstego użycia Magazyn sprowadził paletoty zrobione jak dawniéj z gładkiego bristolu w czarnym albo granatowym kolorze z ładnemi guzikami w cenie od rs. 20 do 26.

Znajdują się tam także szale francuzkie, nigdy z mody niewychodzące. Jedne z nich zupełnie zarabiane, inne z ładnemi szlakami albo też przerabiane w pasy podłużne; wszystkie z deseniami prawdziwie artystycznie odrobionemi. Cena ich od rs. 50 do 100.

Salopy do futra mają formę paletotów z rękawami średniéj szerokości, ściętemi od łokcia na kształt mezkich. Formę takiéj salopy jako najwięcéj pra-

ktycznéj podaliśmy w roku przeszłym, przy numerze 42-gim.

U niektórych zamiast futrzanego kołnierza jest tylko aksamitny obszyty wązko tumakami, popielicami lub innem futrem i takiż mankiet wyłożony w ząb u rękawów. Manszonik do tego aksamitny objęty futrem po dwóch bokach.

Do takich samych salop pojawiły się też szerokie rękawy, ale te nie tak prędko się upowszechnią.

W sprowadzonych kapeluszach zimowych tak wielka panuje rozmaitość że trudno powiedzieć, które z nich będą noszone. Wszystkie w ogólności cokolwiek są większe od letnich, zawsze jednak bardzo małe; najwięcéj znajduje się czarnych aksamitnych, przybranych różowym, niebieskim i fijołkowym aksamitem i dżetem.

Oprócz kapeluszy znanych pod nazwą *Empire* z podniesioną główką, *Lamballe* i katalanek, pani Kwiatkowska sprowadziła modele zupełnie w nowym guście, odznaczające się prawdziwie dobrym gustem.

Dla młodych osób przygotowano kapelusiki okrągłe aksamitne czarne i kastorowe, opasane czarną morową wstążeczką. Główka u nich nie wysokie, rondko okrągłe, równe.

Na wzmiankę zasługują jeszcze prześliczne ubiorki na głowę, w których podziwiać trzeba fantazją pomysłu do utworzenia tak różnorodnych, a pełnych wdzięku stroików. Szczególniéj zwróciły naszą uwagę następujące: jeden z warkocza aksamitnego niebieskiego z ozdobami dżetowemi. Nad kokiem i pod nim przechodziła gładka przepaska aksamitna; od boków do przodu spadały długie blizko na łokieć skosy aksamitne na trzy palce szerokie, przegrodzone szczebelkami, które stanowiły zarazem ubranie stanika. Ubiorki te znajdują się we wszystkich kolorach po rs. 6.

Drugi czarny koronkowy w kształcie długiego liścia spadającego na kok, przystrojony fuksją pąsową i różą pąsową z boku.

Trzeci nareszcie dla starszéj osoby z aksamitu koloru skabiozowego, upięty był z białą barbką blondynową i kwiatem ułożonym z drobnych piór tegoż koloru co aksamit.

Magazyn ten nadto zaopatrzył się w znaczny dobór katalanek z pasmanterji, jak również w motyle koronkowe naszywane dżetem, które młode osoby według gustu i własnéj fantazji wpinają do włosów.

Opis ryciny.

Figura pierwsza. *Ubranie do teatru lub na mały wieczorek.* Spódnica fularowa biała w rzucik solferino, krajana w kliny; na każdem zszyciu brytów pliska z materji solferino, objęta z obu stron wązką czarną gipiurą. Koszulka tiulowa przemarszczana w podłuż i przeszywana pliskami z materji lub wstążki, plisa w około szyi, listwa z przodu, mankiety i epolety, obszyte wązką gipiurą czarną. Na głowie opasana trzy razy wstążka solferino, związana na kokardy po nad warkoczem.

Figura druga. Suknia wełniana, w przerabiany jedwabiem łańcuch czarny. Paletocik takiż sam puszczony (paletot Sac). Kapelusik rypsowy ubrany aksamitką szafirową. Kołnierzyk webowy. Rękawiczki duńskie.

Ubranie małego dziecka. Sukienka długa biała żaknotowa; przód naszyty haftowaną wstawką, do koła wstawki namarszczony tiulik. Szarfa z niebieskiéj wstążki. Czapeczka tiulowa nagarnirowana ruszką, przybrana pukielkami ze wstążeczki.

ROZMAITOŚCI.

Agrest.

Lubi grunt żyzny, cokolwiek wilgotny i miejsce miernie ocienione, ze wszystkich zaś gatunków których jest bardzo wiele najlepszy jest angielski. Rozmnażać się daje różnemi sposobami, najlepiéj jednak przez rozdzielanie korzeni i przez flancowanie gałązek. Do flancowania ucinają się na wiosnę przed puszczaniem, dwuletnie pędy i wsadza się je w miejscu cienistem. Po zakorzenieniu wyjmują się, obcinają ze zbytecznych pędów bocznych i w miejscu przesadzają. Żeby zaś silnie się zakorzeniły, należy oberwać niższe oczka, a zostanie tylko trzy lub cztery przy wierzchołku. Z wyrośniętych pędów jeden się tylko najsilniejszy zatrzymuje inne urzynają.

Chcąc się dochować nowéj odmiany agrestu, wybierają się największe i najpiękniejsze jagody już dojrzałe, i z nich nasienie oczyszczone z mięsiwa lub razem z niem pogniotłszy wprzódy jagody na miazgę, sieje się w skrzynkach lub wazonach napełnionych próchnicą liściową, grubo przynajmniéj na ćwierć łokcia.

Zasiane jagody przysypują się ziemią na ćwierć cala następnie okrywają mchem na cal grubo, i skrzynka po podlaniu stawia się w miejscu zacienionem. Przez całą zimę utrzymuje się ziemię w skrzynce w dosyć wilgotnym stanie, a jak się zaczną pokazywać młode roślinki co zwykle w kwietniu następuje, zdejmuje się natychmiast mech i w czerwcu przesadza się na rabat w ogrodzie w lekką żyzną ziemię. Niektórzy nasienie od razu w jesieni w dobry grunt zasiewają i w drugim roku roślinki przesadzają.

Żeby krzak agrestu, wydawał smaczne i spore jagody, należy w nim zostawić tylko od 4 do 5 głównych gałęzi. Na jesieni lub z wiosny zanim pączki zaczną pukać, wszystkie latorośle przycinają się do połowy długości, a zupełnie się odejmują z głównych gałęzi i przy korzeniach. W kilka lat gałęzie te stają się

zbyt grubemi, w takim razie skracają się a korzenie grubsze po odkryciu ziemi urzynają się do połowy. Drobnych i włóknistych zupełnie się nierusza. Agrest zaniedbany w pielęgnowaniu bardzo się rozrasta zagęszcza a tem samem dziczeje i coraz drobniejszy i mniéj smaczny wydaje z siebie owoc, jak tego bardzo często można się napatrzyć po wiejskich ogrodach.

Ponieważ jagody w cieniu rosnące nigdy nie mają dobrego smaku, a nawet w dniach wilgotnych ulegają gniciu, trzeba więc boczne gałązki podpierać, a prosto stojące przymocowywać do kołeczków, żeby się nie gięły ku ziemi, gdyż najlepszy wydają owoc gałązki utrzymywane horyzontalnie.

Jeżeli podczas lata owady zaczynają zjadać liście agrestowe trzeba krzaki zeszprycować wodą wapienną. Gdy owoc drobnieje jest to znakiem że krzak skutkiem długiego rodzenia osłabł czyli się zestarzał. W takim razie krzak stary należy zerznąć przy saméj ziemi, a z młodego odrostu nowego można się dochować krzaku. Ziemia pod krzakiem powinna być zawsze pulchną, należy więc ją często poruszać na zimę, zaś w jesieni pieńki trzeba starannie obsypać.

Wszystko co powiedzianem było o agreście stosuje się także i do porzeczek.

PTAKI.

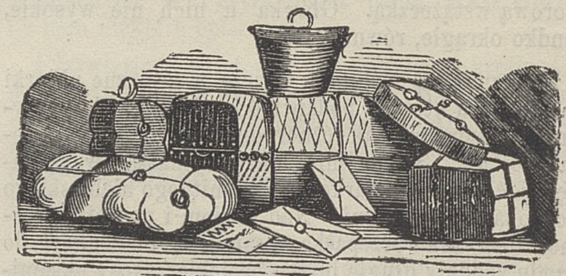
(Dalszy ciąg).

Kto chce łapać Słowiki na sidła, niechże się z tem spieszy do połowy Kwietnia, gdyż potem Słowik wybiera sobie towarzyszkę; i niby go nie pocieszyło po tak bolesnem rozłączeniu, zamknięty w klatce wcaleby nie śpiewał, i nie przeżyłby nawet lata. Byłoby to więc bezpożyteczne okrucieństwo. Złapany, nim wybierze sobie towarzyszkę, śpiewa w Maju i Grudniu. Trzeba go osadzić w miejscu spokojnem, na pół ciemnem, odmieniać mu pożywienie bez otwierania klatki, spuszczając z góry żywność, na wiosnę otoczyć klatkę merynosem zielonym, wystawić ją na wschód, a biedny Słowik na pół pocieszony po straconéj swobodzie, robaczkami z mąki, które powinien dostawać trzy razy dniem, po dwadzieścia pięć na raz, oprócz ciasta wyżéj pomienionego, przeżyje tak kilka lat, śpiewając na żałosną nutę, nigdy bowiem nie przestanie zupełnie tęsknić. Słowem przyjemność jaką sprawić może chowany w klatce Słowik, nie wynagrodzi zachodów podjętych koło niego, kto lubi śpiew Słowika, niechaj go słucha w lesie, gdzie dobywa z gardziołka stokroć piękniejsze tony.

Nie wspominamy tu nawet o sposobie oślepiania Słowików aby piękniéj i dłużéj śpiewały. Dziś zapewne niktby się już nie dopuścił takiego barbarzyństwa.

Kanarki. Z pomiędzy ptaków zamorskich, najwięcéj upowszechnione u nas Kanarki. Nazwisko ich pochodzi od wysp Kanaryjskich zkąd je do Europy sprowadzono. Całe tomy zapisano o wychowaniu tych ptasząt, które jednak wcale nie jest trudnem. Przez lat sto po sprowadzeniu Kanarków, uważano za rzecz nie podobną, aby te ptaszki mnożyć się mogły w Europie. Były one z początku bardzo drogie, dostępne zaledwie bogaczom; a że spekulanci, sprowadzali same tylko samce, nie mogły się zatem upowszechnić. Zdarzyło się wreszcie że okręt Toskański, powracający z wysp Kanaryjskich z Kanarkami, rozbił się o brzegi wyspy Elby. Kanarki ocalały dzięki skrzydełkom, żyły swobodnie na wyspie, połączyły się nawet ze szczyglicami, i ztąd powstały piękne mieszane ptaszęta, zbliżone do Kanarków tak żółtą barwą piórek jak i śpiewem. Odtąd przekonano się że Kanarki mogą wysiadać jajka w Europie: te ptaszki tak się dziś rozmnożyły, że cena ich dostępną jest dla wszystkich.

(d. c. n.)



Pani Jadwidze Za. Firanki muślinowe haftowane odpasowane na okno kosztują od 7 do 16 rs.; gipiurowe od 5 do 11 rs. odpasowane, na łokie takież same od 45 do 60 kop. Gipiurowe francuzkie w wyborowym gatunku od 14 do 20 rs. za okno. Najtańsze muślinowe na łokcie dostać można od kop. 37 i pół do 50.

Pani B. Nowa. Próbki wyrobów wełnianych przesłaliśmy. Najstosowniejszy na suknię zimową będzie knikerboker po kop. 75 łokieć. Popelina na suknie przerabiana jedwabiem, łokieć kosztuje od rs. 1 do rs. 1 kop. 50.

Pani Zofij R. Lisy pod salopę w średnim gatunku kosztować będą rs. 60. Kołnierz tumakowy rs. 45.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek.)



Gilquin fils imp. r. des Fossés St. J. 3. Paris

3475

TYGODNIK MÓD

w Warszawie

Dodatek do Nr. 41 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 1 (13) Października 1866 r.

OBRAZKI
Z PODRÓŻY DO AUSTRALJI

PRZEZ

Wawrzeńca K.

(Dalszy ciąg.)

VI
RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Przy końcu trzeciego tygodnia, Jan promieniejący jak jutrzenka dzień piękny zapowiadająca, wpadł do mieszkania malarzy z oświadczeniem, że za dwa dni naznaczono pierwsze jego wystąpienie w miejscowym teatrze.

— Warunki nieszczególne—dodał po pierwszym wybuchu radości — dłuższe przygotowania jak rzecz sama, ale zawsze lepsze coś jak nic. Wreszcie znudziłem się różnemi nieprzewidzianemi trudnościami, przyjąłem więc bez namysłu co mi przedstawiono, ale popasać nie myślę tu długo. Odkryto nowe miejscę w kopalniach niezmiernie bogate, tam ruszamy wszyscy, ja z motyką a ty Jakóbie z ołówkiem, i zaręczam że ani mnie ani tobie roboty nie braknie. Piękna Lenora urządzi magazyn mód, do pomocy możemy przybrać jednę z synogarliczek angielskich świeżym transportem przybyłych z Londynu. Kobiety w kopalniach lubią stroje, kwiaty i świecidła, nabierzemy więc ich pełną furę, a w zamiam wywieziemy furę złota. Prześlicznie, przedoskonale, jest to ziemia obiecana, w której dość się schylić żeby zostać bogatym. Wreszcie dla ciebie trzeba nowych obrazów, widoków, scen niezwykłych, w Melbourn prędko je można wyczerpać, tam co krok znajdziemy coś nowego, niezwykłego, zadziwiającego, a tak czerpać będziemy z téj krynicy złota podwójnym sposobem.

Wyrzekłszy to jednym tchem, skinął potem nieznacznie na Jakóba i wyszedłszy z nim z mieszkania, rzekł tajemniczo:

— Zdaje mi się, że wyśledziłem wilka w jego własnéj skórze.

— Cóż to znaczy? nie rozumiem cię mój drogi.

— Przypominasz sobie zapewne owego tajemniczego na okręcie odludka Jerzego Fellowa?

— No i cóż daléj? Wiem że odebrałeś od niego zaproszenie na codziennego gościa.

— Tak było i korzystałem z tego dwa razy tylko, bo późniéj trzy razy zachodząc nigdy go nie mogłem w domu znaleść. Dałem więc pokój, ale w téj chwili wracając z teatru zobaczyłem okno otwarte w jego mieszkaniu i rękę wysuniętą po za firankę. Trzeba go zaprosić na przedstawienie pomyślałem sobie, i w trzech sekundach lekko jak ptak skaczący, po grządkach, przebiegłem schody i zatrzymałem się tuż przy drzwiach. Drzwi były źle zamknięte, spojrzałem przez szparę i ledwom nie krzyknął z zadziwienia. Człowiek którego zobaczyłem na głowie miał perukę źle włożoną, z pod któréj przy jednéj stronie wymykały się rude włosy. Pragnąc bliżéj rzecz zbadać i dowiedzić się co się stało ze znajomym którego szukałem, zapukałem, raz, drugi i dopiero za czwartym czy nawet piątym razem, dał się słyszeć głos zapraszający do wejścia. Przedemną stanął teraz dawny Jerzy Fellow, w téj saméj peruce, ale już z brodą, wąsami i w okularach, a przy jednem uchu wymykała się rudzizna, która mnie przed chwilą tak zastanowiła. Ten zaś pierwszy którego przez szparę widziałem zniknął bez śladu i wieści, jakby się gdzie zapadł pod ziemię. Nie było zatem żadnéj wątpliwości, że pana Fellowa wypatrzyłem w podwójnéj postaci, że był rudy, nie miał wąsów i brody, że się z tem starannie ukrywał i że ukrywania tego musiał mieć ważne powody, kiedy sobie dobrowolnie tyle przykrości zadawał.

— Czyżby to był handlarz murzynów kapitan Foksertou?—zapytał Jakób z trwogą.

— Podobne pytanie i ja sobie równie zadałem i tak niem byłem zajęty, że w pierwszéj chwili zostałem jak niemy, nie mogąc ani jednego słowa przemówić, i poglądałem tylko to na jego brodę, to na rudą opaskę włosów, to wreszcie po całem pokoju jakbym szukał kogoś. Położenie rzeczywiście stawało się zabawne, bo i Fellow patrzył na mnie zapewne jak na warjata, i nie zaprosił nawet siedzieć, co zwykle dopełniał ze wszystkiemi formami największéj grzeczności. Milczeliśmy więc oba pilnie patrząc po sobie, po chwili Fellow rozśmiał się mruknięciem podobnem do warczenia tygrysa, i rzecz dziwna, w téj chwili przypomniał mi się starzec z przeciwka, u którego odbyłem rewizją, po przestrachu jakiego doznała twoja żona...

— Czy podobna?

— Był to jego głos, jego poruszenie ust, które nie dadzą się opisać, tylko zapamiętane, przy pierwszéj sposobności przypominają się w całéj prawdzie, jakby powtórzenie zdarzenia przy którem powstały. Tu zaszedł ten sam wypadek, przypomniałem sobie natychmiast owego starca...

— Wszystko to jest tak dziwne i niezwyczajne, że nawet nie wiem co o tem wszystkiem wnioskować...

— „Możesz łatwo domyślić się mówił daléj Jan— że to podejrzenie zbiło mnie bardzo z tropu i zamiast

rozwiązać język, jeszcze go bardziéj skrępowało—Fellow widząc że milczeniu memu niema końca, po mruknięciu owem śmiech niby mającem oznaczać, po chwili rzekł:

— „Nie poznaję cię młody mój przyjacielu — powiedz co się z tobą dzieje?

Zupełnie nie mogę pojąć stanu w jakim się znajdujesz. Czyż byłbyś chory?

To mnie cokolwiek oprzytomniło, odrzekłem więc głosem o ile można pewnym i wesołym, jakiego zwykle w rozmowie z nim używałem.

— „To nic, to chwilowy przestrach, ale już minął. Zobaczyłem ducha i przestraszony...

— „Ducha?— przerwał Fellow—„ cóż to znaczy?

— „W teatrze duchy występują jak zwyczajni ludzie odrzekłem, wykręcając się ze słów cokolwiek nierozważnie wyrzeczonych—„ ja właśnie wracam z próby na któréj dosyć miałem z niemi do czynienia i przyszedłem umyślnie, aby cię zaprosić na przedstawienie, czego spodziewam się że mi nie odmówisz.

— „I owszem i owszem odrzekł z wielką życzliwością“ i w końcu po licznych grzecznych i pochlebnych okresach dotyczących spodziewanego we mnie talentu, rzekł na wychodnem niby od niechcenia, ale jakimś zmienionym wyraźnie głosem, jakby drżącym:— zapewne i przyjaciele twoi państwo Blenday będą na przedstawieniu, pozdrów więc ich odemnie i powiedz że pragnę niezmiernie z niemi zobaczyć się.

To zapamiętanie waszego nazwiska“— mówił daléj Jan—„szczególny ton mowy kiedy oświadczał pragnienie zobaczenia się z wami, był tak dziwny jakiś jakby odrażający, że mimowoli ze zdziwieniem spojrzałem na niego. Twarz znalazłem uśmiechniętą, usta drgały zupełnie tak jak nam opowiadała piękna Lenora. Nie bawiąc już i chwili więcéj. wyszedłem na ulicę, ale prawie przysiągłbym, że Fellow, starzec z przeciwka i kapitan Fokserton, są jedną i tą samą osobą, że szatan przyniósł go razem z nami do Australji, nawet na tym samym okręcie, którym myśmy płynęli, że żona twoja nie pod wpływem ułudy dwa razy go już zobaczyła, i że nareszcie wypada nam strzedz się tego drapieżnego zwierza, bo widocznie działa z planem tym dla was niebezpieczniejszym im go ukrywa staranniéj, a sam otacza się nieprzeniknioną tajemnicą.

—„ Zapewne mój Janie, ostrożność nigdy nie zawadzi, ale wpływ ułudy bywa czasami tak wielki, że człowiek często widzi to czego nie ma, albo co zupełnie przedstawia się inaczéj...

— Ależ rude włosy, przebranie, to podobieństwo o owym starcem.....

— Wszystko to są rzeczy bardzo znaczące, ale zawsze tylko przypuszczenia. Zważ tylko mój drogi, że wyjazd nasz z Anglji odbył się w największéj tajemnicy, i że kapitan znajdował się wówczas przy brzegach Ameryki. Jakimże więc sposobem mógł razem z nami na jednym płynąć okręcie?

— Prawdziwy z ciebie Anglik, spokojny jak mumja —przerwał Jan niecierpliwie — ale i kapitan Anglik a uparty i dziki jak Black-fellow najczystszéj rassy. Bądź więc ostrożnym, radzę ci jak przyjaciel. Ja tego rekina nie znam, ale przeczuwam go w Fellowie.

— Nie obawiam się go —odrzekł Jakób z mocą— i w pierwszem spotkaniu w którem wystąpi jako nieprzyjaciel, bez chwili namysłu zabiję go jak podłe zwierze. Masz jednak słuszność co do ostrożności. Przedewszystkiem Lenorze ani słowa, sam go muszę zobaczyć i niby nie chcący osobiście się rozmówić. Widziałem go w prawdzie raz tylko i to przez ulicę, a potem w restauracji, ale go wybornie pamiętam i poznam choćby się przedzierzgnął w niemego murzyna. Ja jemu zupełnie jestem nieznany.

Późniéj jednak Jakób rozważając owo tak rażące odludztwo Fellowa na okręcie, przestrach żony i postrzeżenia Jana, dał się nareszcie przekonać, że prześladowca może być tuż przy nich. Postanowił więc działać, i to spiesznie, bez straty czasu i wszystko skierować do sprawdzenia osoby podejrzanéj. Najprzód więc obrócił się do dzikich swoich przyjaciół, państwa Makajów, na których przychylność mógł jak najzupełniéj liczyć. Jeżeli bowiem starzec co przed niemi mieszkał jest tylko jedną z przemian kapitana, to mogli posiadać o nim jakie wiadomości, niezmiernie dla nich ważne i pożądane. Ale Dumk odrzekł:

— White-fellowsa z białą brodą, raz tylko widziałem, kiedy nam dawano po nim mieszkanie. Późniéj nie widziałem go ani razu, a ten co tu przychodzi i za psa nie ma Dumka, to wysoki, czarny, oczy ma jak błyskawice, pięście jak żelazo, a zły jak Yaboo (*).

— Obraz do niego bardzo podobny pod względem charakteru—odrzekł Jakób— co do powierzchowności ta może być udaną.

— Yes — yes — zawołał Dumk wydając głuchy okrzyk radości właściwy dzikim, co powtórzyła żona jego uderzając ręka w rękę—on ma dwie skóry z włosami na głowie, jedna czarna a druga jak złoto w Bendigo. Jak zły to szarpie czarną skórę, a złota wysuwa mu się na głowę.

— Dumk widział to i ja widziałam—odezwała się Lubra—i widziałam że White Yahoo oczami jak ogień patrzy w wasze okna.

Objaśnienie to zdawało się usuwać wszelką wątpliwość co do bytności kapitana w Australji, starannego krycia się i uporczywego szpiegowania. Wątpić o tem zdawało się prawie niepodobieństwem, fakta za nadto były jasne i wyraźne. Co do celu tak uporczywego ich ścigania, uznano że musiał być niepospolity, bo nikt dla fraszki nie porzuca swego zajęcia i nie pędzi tysiące mil przez oceany, aby spokojnie z piekłem zazdrości w sercu, ścigać spojrzeniem osobę ukochaną. Wprawdzie dziwactwa różne bywają na świecie, i podróż do Australji mogła być jednem z takich dziwactw, ale wypełnienie go wymagało niemałych wydatków, a kapitan według najpewniejszych wiadomości na mieniu swem był zupełnie zrujnowany. Pominąwszy zresztą fundusze, gdyby samo dziwactwo popędziło go w tak daleką podróż, gdyby przypadek pomieścił ich na jednym okręcie, to po cóż tak staranne ukrywanie swojéj osoby, i te ciągłe przebierania się teatralne niczem nie usprawiedliwione? Gdyby powodowany zemstą, za odrzucenie swéj ręki, chciał zabić Lenorę lub Jakóba, to mógł to już dawno uskutecznić w Londynie, lub w czasie trzechtygodniowego pobytu w Melbourne, bo któż potrafi się ustrzedz ręki przyczajonego zbójcy, uzbrojonéj nożem lub rewolwerem? Raz w prawdzie szturmowanie do

---

(*) Tak nazywają dzicy Australczycy złego ducha.

drzwi mieszkania gdy Lenora była sama, miało miejsce z wielkim jéj przestrachem i przerażeniem, ale dopełnić tego mógł nie sam tylko kapitan.

Myśl zatem pomsty krwawéj nie mogła być jedynym celem wyprawy. Uchwycić, porwać, zamknąć gdzie w niedostępnem dla ludzi miejscu, rzecz nie tak łatwa zarówno w Londynie jak w Melbourne. Osady wprawdzie Australji pozornie, w urządzeniu swem społecznem, wyglądają nadzwyczaj chaotycznie, przedstawiając wszelkie ułatwienia, dla rozwoju złego i wszystkich złych człowieka namiętności, ale to tylko pozór. Prawo bowiem jest tam bardzo szanowane a siłę zbrojną, strzegącą tego poszanowania, szczupłą bardzo i niewystarczającą, wspomaga każdy mieszkaniec, czując że bezpieczeństwo drugiego jest jego bezpieczeństwem, i ścigając nadużycie, obrania siebie od niego.

Rozumowania podobne zupełnie uspokoiły Jana i Jakóba, o tyle przynajmniéj, że się pozbyli trwożnych przypuszczeń, a dla usunięcia się z pod oka kapitana, postanowili z upływem tygodnia zmienić pomieszkanie, i przenieść się w największéj tajemnicy, gdzie w zamiejskie strony, o ile można najdaléj od zgiełku miejskiego.

VII

JERZY FELLOW.

Przy rogu ulicy kościelnéj dotykającéj placu zwanego na bagnisku, znajduje się mała dwupiętrowa kamieniczka, z czterema sklepami na dole i tyluż pomieszkaniami na każdem piętrze, z których jedno zajął znajomy nam Jerzy Fellow razem ze swym nieododstępnym Diekem. Było to miejsce dosyć ludne, sklepy, budki, kramy, składy, magazyny, ciągnęły się przez całą długość ulicy, przechodnie tłoczyli się, przekupnie wywoływali, woźnice trzaskali biczami, słowem życie na niéj wrzało w całéj pełni od brzasku dnia, aż do późnéj nocy. Ktokolwiek szukał towaru cokolwiek wytworniejszego, musiał koniecznie na nią zawędrować, w innych bowiem punktach nie było ani takiego wyboru, ani takiéj rozmaitości przedmiotów. To też o każdéj porze dnia, można tam było spotkać grupy oglądających się majtków na wszystkie strony, górników przyglądających się wspaniałym wystawom, powozy eleganckie przebiegające w rozmaitych kierunkach i wozy obładowane pakami towaru, które woły lub konie ciągnęły z pobrzeża rzecznego do składów kupieckich. Gwar zatem był ciągły jak na jarmarku, tymbardziéj że rozmowy cichéj nigdzie niedosłyszałeś, i każdy mówiąc krzyczał całem gardłem widocznie pragnąc ogłuszyć sąsiada. Przytem hurgotały wozy po bruku, woźnice wrzeszczeli jak opętani, klnąc każdego bez ogródki co im zawadzał, a przejeżdżające panie zatrzymywały się pod oknami niektórych domów i zawiązywały rozmowę z siedzącemi w nich znajomemi. Czasem przyłączył się do tak na prędce prowadzonéj gawędy, jaki przechodzień, wtedy rozmowa ożywiała się, sypały się grzecznostki, umizgi, wymówki, czasami nawet przymawiano sobie, dowcipkowano, nawet pokłócono ze wszystkiemi oznakami strasznego gniewu, ale wszystko to nikogo nie dziwiło ani zajmowało, i każdy przedewszystkiem myślał o sobie. Patrząc na tak mrowiącą się ludność, tak głośną i hałaśliwą zdawało się, że myśl cicha tajemna, zupełnie jéj jest nieznana, i że każdy przyszedł na to, aby się jak najwięcéj wywrzeszczyć i wygadać. Dla człowieka lubiącego spokój i ciszę, mieszkanie w tak ludnéj części miasta było nieznośne, i po większéj części przez samych kupców wszystkie prawie domy były pozajmowane. Kiedy Fellow wprowadzony został do mieszkania i rozpoznał wszystkie jego wygody i niedogodności, wyjrzał przez okno, skrzywił się, potem poruszył palcami w uszach i rzekł do Dicka.

— Ale to samo jądro największéj wrzawy miejskiéj. Ludność przypływa i odpływa jak bałwany morskie. Wiesz dobrze że tumultu takiego nie lubię, pocóż było tu a nie gdzieindziéj obierać mieszkanie.

Dick nic na to nie odrzekł, tylko coś mruknął między zębami i uśmiechnął się krzywiąc twarz jakby chciał ukąsić. Fellow spojrzał na niego z podziwieniem, a oczy uwolnione z okularów zaiskrzyły się gniewnie. Widocznie ta poufałość podwładnego niespodobała mu się. Po chwili dopiero Dick szepnął:

— W gęstym lesie świeżo zasadzone drzewo, niczyjéj nie zwróci uwagi. Osadzone w gruncie pustym każde oczy ściągnie ku sobie i każdy ptak przelatujący siądzie na jego gałęziach.

Uwaga ta widać spodobała się Jerzemu, bo uśmiechnął się, odrzucił brodę, wąsy i zdjął perukę z głowy. Nagle twarz jego zmieniła się nie do poznania. Na głowie pokazały się gęste rude włosy, twarde jak szczecina, i policzki chude, okryte żółtemi plamami.

— Tak to lubię patrzeć na kapitana—odezwał się Dick wpatrując się w niego z pewnem zachwyceniem jak szakal na igrające przy sobie szczeniaki. Peruka, broda, wąsy i okulary jakie kapitana tak zmieniły do niepoznania, zbrzydły mi jak solone mięso na okręcie. Naturalna postać przypomina mi dawne nasze prace, interesa tak świetne rokujące nadzieje...... och! gdybym ten przeklęty trzymasztowiec dostał w moc swoją, co nas ścigał, gonił, gryzł po kawałku, a w końcu połknął jak rekin, osadę całą wydusiłbym własnemi rękami, a dowódzcę utopił w gorącym ukropie.

Dick na zakończenie machnął ściśniętemi pięściami jak ciężkim młotem, a Fellow zgrzytnął zębami i plamy żółte okryły mu się fioletowemi bruzdami. Po krótkiéj chwili milczenia, albo raczéj wściekłego gniewu, miotającego panem i sługą czy wspólnikiem, bo nie wiadomo który tytuł właściwie mu przypadał, oba cokolwiek uspokoili się. Fellow powstał, dał niemy rozkaz zasunięcia firanki, a potem kładąc rękę na ramieniu Dicka rzekł:

— Strata ogromna, praca tylu lat, zarobek z takim trudem zdobyty, poszedł na dno oceanu. Zrujnowani jesteśmy zupełnie, bo i twoją część jeden los spotkał. Ale to wszystko nie tak mnie gniewa jak upór téj niegodziwéj kobiety. Dla niéj chciałem podwoić mienie, zaryzykowałem wszystko i wszystko straciłem. Zostały mi nędzne szczątki, ale te oddam chętnie, abym tylko mógł zemścić się tak strasznie, jak straszną jest boleść moja i rozpacz.

— Złe to myśli kapitanie — odrzekł Dick poważnie. — Nie znam głupszéj rzeczy na świecie jak zemstę kosztowną. Gdyby gołąbeczce można było odebrać wielką fortunę któréj nie posiada, jużbym

dawno postarał się, żeby jéj nie przeszkadzała do gruchań miłosnych na świeżo usłanem gniazdeczku. Ale oskubana ze wszystkich piórek, w zysku nawet funta prochu nie przyniesie.

— Prawdziwy z ciebie handlarz czarnego mięsa (*) odrzekł Fellow ze szkaradnym uśmiechem—na wszystko masz taksę, ważysz nawet to co się nie da włożyć na szale.

— Wszakże pieniądz przedstawia wartość każdéj rzeczy—mruknął Dick poważnie.

— Jesteś zepsuty jak szatan, nie pojmiesz nigdy co to jest kobieta.....

Dick uśmiechnął się szyderczo, a Fellow syknął niecierpliwie i mówił daléj:

— Na rozjaśnienie pojęć twych silić się nie będę. Byłaby to próżna praca, jak starania o odzyskanie utopionego naszego ładunku....

Czy i murzynów także?—wtrącił zapytanie Dick—Fellow znowu syknął, błysnął oczami i mówił daléj:

— Jako niegodną siebie, chciałem zniszczyć w pamięci. Dlatego przyjąłem chętnie myśl wyjazdu do Australji, bo to mnie oddalało od niéj i otwierało pole nowego zarobku, nowéj działalności. Djabelski przypadek złączył nas znowu..... trzymiesięczne tortury widywania jéj codziennie przy boku innego, zanadto były straszliwe i okropne, aby nie miały przemienić w płomień przygaszonéj namiętności. Stałem się nie zdatny do niczego, myślą błąkałem się przy niéj w dzień i w nocy, leżałem u jéj stóp błagając o jeden uśmiech o jedno spojrzenie, korzyłem się jak pies, a jak podły niewolnik wpatrywałem się w jéj oczy, gotów potargać się w pasy, skoczyć w morze na pierwsze jéj skinienie, dające mi nadzieję choć chwilowéj wzajemności. Dicku ty nie znasz tego żaru co mnie dusi i pali" i Fellow wyciągniętą ręką, jak kleszcze, ścisnął tak silnie za ramię swego towarzysza, że ten aż syknął z bólu.

— Prawda że to djabelski przypadek — odezwał się Dick usuwając ramię z bolesnego uścisku — ale nie ściskaj mi tak ramienia kapitanie, bo ja nie twoja Lenora, która....

— Tak—tak — wrzasnął Fellow, zrywając się nagle z siedzenia i krążąc w koło po pokoju, jak tygrys w klatce przyprowadzony do wściekłości — dobrześ powiedział, że moja. Tak, tak! musi być moją, i będzie nią, choćby mi potem przyszło u nóg jéj trupem się położyć.

Dick na ten wybuch szalony nic nie odrzekł, zaczął tylko kiwać głową z podziwieniem. Fellow po kilkorazowem okrążeniu pokoju, zatrzymał się wreszcie na środku i sapiąc załamał ręce.

— Patrz ty bryło kamienna — odezwał się — do czego mnie ta niewdzięczna doprowadziła. Chciałbym zapomnieć, chciałbym ją porzucić, nie mogę..... nie mogę.... Dicku daj mi ją, bo oszaleję, albo zabij lub otruj.....

— Będziesz ją miał kapitanie — odrzekł Dick zimno, poważnie i stanowczo.

— Co?—co mówisz?—Dicku—zapytał Fellow wodząc oczami jak obłąkany.

(*) Tak nazywany bywa zwykle handel biednemi murzynami.

— Powtarzam że będziesz ją miał — odrzekł Dick wiesz kapitanie że w próżne obietnice nie lubię się bawić.

Kapitan z mruczeniem podobnem do warczenia dzikiego zwierza, rzucił się na Dicka, zaczął go ściskać, całować z tak szalonem uniesieniem radości, że w silnych swoich objęciach ledwo go nie udusił, a nawet parę razy ugryzł w policzki, na szczęście Dicka o tyle lekko, że pod naciskiem zębów nie pękła skóra, tylko pokazały się sine znaki i małe w ciało włoczenia. Potem rzucił się jak długi na łóżko i tarzając się po niem śmiał się głośno i nienaturaln[illegible] że Dick nacierając twarz i poprawiając rozm[illegible] ubranie, wpadł w podejrzenie, czy kapitan [illegible] lał. Przypuszczenie to tak wyraziście [illegible]w[illegible] się w spojrzeniu Dicka, że Fellow postr[illegible]je i [illegible] rzekł z pół uśmiechem:

— Bądź spokojnym mój Dicku — nie stra[illegible] zmysłów, ale przeciwnie przyrzeczenie twoje o[illegible] je. Radowałem się bo znam cię i wiem że dotrzymasz słowa, ale jednak....

Fellow zbladł a w[illegible] j[illegible] kolce u jeża stanęły mu na głowie.

— Nie widzisz kapitanie [illegible] to zrobię sposobem?—domówił Dick z największą obojętnością.

— Tak jest, tak. C[illegible]y [illegible] jaki obmyślany?

— To drobna sprawa—odrzekł Dick z lekceważeniem.—Potrafiłem na naszą Wolantę i Aldynę setki wprowadzać murzynów, a tu bym sobie nie miał dać rady z jedną kobietą? Spodziewam się kapitanie że lepsze masz o mnie wyobrażenie.

— Wiem—wiem, znam cię. Nie przypominaj mi tylko tych czarnych djabłów... wzmianki o nich znosić nie mogę. Radbym jednak wiedzieć jak się myślisz zabrać do rzeczy?

— To kapitanie zależeć będzie od twojéj decyzji. Jeżeli na długo...,

— Na zawsze, na zawsze!—przerwał Fellow dzwoniąc zębami jak w febrze.

— Na zawsze?

— Tak jest, na zawsze.

— Jeżeli na zawsze — przeciągłym tonem odrzekł Dick, jakby namyślając się o ile to zgadza się z jego interesem—jeżeli na zawsze, to ją trzeba wywieść daleko od Melbourne, w miejsca mniéj skolonizowane. Tu i w osadach ludniejszych byłoby troszkę niebezpiecznie. Najlepiéj dałoby się to dopełnić nocną porą i na ulicy, ale sposobności nie pominę żadnéj, z domu, z powietrza nawet z pod ziemi wydobędę i przystawię ci ją kapitanie, całą, zdrową i uśmiechniętą.

Kapitan znowu chciał rzucić się z całusami na Dicka, ale ten nauczony doświadczeniem odskoczył na bok mówiąc:

— Daj pokój kapitanie, uściski nie dla mnie, nie znam się na nich. Przejdźmy teraz do innéj kwestji, bardzo drażliwéj, bo pieniężnéj. Jak nasza kassa stoi?

— Wystarczy na wszystko.

(d. c. n.)